

Światła w ciemności

Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata uhonorowano kilkoro mieszkańców Zamojszczyzny. Tych, którzy ratowali Żydów podczas II wojny światowej jest znacznie więcej. Instytut Pamięci Narodowej właśnie rozpoczął kampanię społeczną „Życie za życie” i gromadzi relacje o pomocy, jakiej Polacy udzielali Żydom w czasie wojny

Reportaż

Gabriela Gorzandt z domu Trzcińska w czasie II wojny światowej straciła rodziców. Hitlerowcy rozstrzelali ich w Biłgoraju za to, że pomagali Żydom. Ani Trzcińscy, ani ich córka nie otrzymali Medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Po wojnie nie odnalazł się żaden z ukrywanych przez nich Żydów.

W pierwszych latach okupacji Trzcińscy mieszkali w Biłgoraju przy ul. Nadstawnej. Wynajmowali mieszkanie. Ojciec Gabrieli, Paweł Trzciński, pracował przed wojną w urzędzie skarbowym. W czasie okupacji, tak jak inni, w różny sposób zdobywał pieniądze na utrzymanie rodziny. Głównie handlował. Czasami jeździł za San po naftę oraz inne produkty, których w Biłgoraju wtedy brakowało.

- Nie pamiętam, w którym roku ojciec kupił kawałek placu razem ze spalonym piętrowym domem. Odbudował go i w nim zamieszkaliśmy. Właśnie z okien tego domu widziałam, jak jesienią 1942 roku Niemcy spędzili Żydów na plac po spalonych domach. Przesiedlano ich do getta - wspomina Gabriela Gorzandt.

Wtedy nastoletnia Gabrysia po raz pierwszy zobaczyła egzekucję. Widziała jak Niemiec podszedł do Żyda, rozmawiał z nim przez chwilę, po czym wyciągnął z kabury pistolet i strzelił mu w głowę.

- Byłam zdziwiona tym widokiem. Nie przerażona, a raczej zdziwiona - opowiada dalej Gabriela Gorzandt. - Potem często na ulicach Biłgoraja można było natrafić na zwłoki Żydów, którzy nocą wychodzili z ukrycia, by zdobyć coś do jedzenia.

Gabriela Gorzandt widziała też transporty Żydów z Tarnobrodu, zmierzające do obozu zagłady w Bełżcu. Najbardziej utkwił jej w pamięci widok zapłakanego dziecka, które zwisało między szczeblami drabiniastego wozu. Nikt się nie przejmował przerażonym i zanoszącym się od płaczu malcem.

Wpadka czy donos?

W 1941 r. ojciec Gabrieli zdobył koncesję na prowadzenie punktu skupu skór surowych. Podobny przed wojną prowadzili w Biłgoraju Żydzi. Dlatego Paweł Trzciński zatrudnił Żydów. Gdy Niemcy żądali, aby ich zwolnił, on tłumaczył, że wśród miejscowych Polaków nie ma tak dobrych specjalistów. Trzcińscy początkowo nie wiedzieli, że w punkcie skupu skór Żydzi zrobili sobie kryjówkę. W niszy między ścianą magazynu, a

info

autor
Mariusz Parol

data publikacji
04.11.2008 r.

następnym pomieszczeniem schroniły się dwie rodziny. Paweł Trzciński chorował na astmę i rzadko zaglądał do magazynu. Częściej chodziła tam jego żona. Ona pierwsza natrafiła na ukrywających się Żydów. Potem każdego wieczora wynosiła z domu garnek gorącej kaszy. Gabrysia zrozumiała, dla kogo jest ta kasza, gdy niechcący podsłuchiwała rozmowę rodziców:

- Wisiu, czy ty zdajesz sobie sprawę, że narażasz naszą rodzinę - mówił do żony Paweł Trzciński.

- Pawełku, nie mogę słuchać, jak te głodne dzieci płaczą - odpowiedziała mu żona.

17 lutego Niemcy aresztowali Trzcińskich. Nie wiadomo, czy podczas przeszukania zdradził ich lament Żydów, ukrywających się za ścianą magazynu. Jest wielce prawdopodobne, że aresztowano ich za sprawą donosu, jaki na Trzcińskich miał złożyć miejscowy masarz, który ponoć zazdrościł im skupu skór.

Gabriela Trzcińska niemal cudem uniknęła aresztowania. Podczas przeszukania wyszła niepostrzeżenie z domu otoczonego przez hitlerowców. Przeczuwała, że nie ma po co wracać. Potem dowiedziała się, że jej także szukało gestapo. Dzięki pomocy znajomych Gabriela wyjechała do Lublina. Jej rodziców rozstrzelano 3 marca 1943 r.

Po opuszczeniu Biłgoraja Gabriela obiecała sobie, że nigdy nie wróci do tego miasta. Szybki powrót wyróżyla jej Cyganka. Faktycznie, dziewczyna wróciła do Biłgoraja dość szybko. Wujenka napisała w liście, że ich spalony dom zaczynają rozbierać szabrownicy.

Za pomoc w ratowaniu Żydów Towarzystwo Singerowskie z Biłgoraja uhonorowało Gabrielę Gorzandt „Nagrodą odwagi i tolerancji imienia Melanii i Jana Mikulskich”.

- Traktuję ją jako nagrodę dla moich rodziców. Oni poświęcili życie, aby ratować Żydów - mieszkanka Biłgoraja nie kryła wzruszenia odbierając nagrodę.

Chrzest to nadzieja

Maria Jurczak z domu Brogowska w czasie okupacji mieszkała z rodzicami w Bełżcu. W 1941 r. ich krewna przywiozła kilkuletnią córkę znajomych Żydów z Krakowa. Brogowscy potraktowali Irenkę Sznycer jak członka rodziny. Bawiła się z ich dziećmi. Ale, gdy koło ich domu przejeżdżali Niemcy, musiała ukryć się w piwnicy. Ochrzcili Irenkę, w nadziei, że świadectwo chrztu może ją uratować.

Maria Jurczak pamięta pewną sąsiadkę, która często powtarzała: Jak oni się nie boją? To Żydzie tak chodzi z nimi... Jak oni się nie boją?

Kłopoty pojawiły się, gdy ktoś doniósł Niemcom z obozu zagłady w Bełżcu, że w domu Brogowskich ukrywa się żydowskie dziecko. Niemcy wysłali do nich folksdojcz, który miał sprawę wyjaśnić. Brogowscy zapewniali go, że to nieprawda.

- Jeżeli znajdziemy to dziecko, to zginiecie razem z nim w obozie - pogroził im folksdojcz.

- Potem nikt już nie sprawdzał, czy donos jest prawdziwy - Strach jednak był wielki - wspomina Maria Jurczak.

Po wojnie krewna Brogowskich odwiozła Irenę Sznycer do obozu przejściowego dla Żydów ocalonych z Holocaustu. Rodziców Ireny tam nie było. Irena wyjechała z Polski. Kontakt z nią się urwał. Marii Jurczak udało się ją odnaleźć dopiero po przeszło czterdziestu latach. Irena mieszkała w Izraelu. Miała tam wujka, który jako jedyny z jej rodziny przeżył Holocaust. Po wojnie nie kontaktowała się z Brogowskimi. O tym, jak ocalała z

wojennej zagłady, opowiedziała tylko mężowi (wyszła za mąż, kiedy miała 17 lat). Dzieciom nic nie mówiła. Chciała na zawsze wymazać z pamięci ten rozdział swojego życia. Zmieniła zdanie, gdy Maria odnalazła ją po latach w Izraelu.

Kilka lat temu Irena z trojgiem dzieci odwiedziła Marię. Powiedziała jej wtedy: „Odwdzięczę się za to, że żyję i mam rodzinę. Nie twoim rodzicom, ani moim, bo ich już nie ma”. Poprosiła, by ta opisała ich wspólne przeżycia podczas okupacji w Bełżcu. Te wspomnienia Irena załączyła do wniosku o przyznanie Medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W tym roku Maria Jurczak w imieniu swoich rodziców odebrała medal i dyplom podczas uroczystości w Lublinie.

Raz Niemcy, raz Ukraińcy

Hrubieszowianie mają dwa Medale Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Jeden przyznano Alfredowi Hapońskiemu za uratowanie życia Chai Papier.

Hapoński pomógł Żydówce wydostać się z getta przy ul. Jatkowej w Hrubieszowie. Było to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Tuż obok domu, w którym ją ukrył, mieściło się gestapo. Hapoński dostarczył Chai „aryjskie” dokumenty. To dzięki nim kobieta ocalała. Mieszka w Australii.

Drugi Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata dostała rodzina Jana Strójwasa. Ten, zmarły przed kilkoma laty hrubieszowianin, urodził się we Władysławówce pod Włodzimierzem Wołyńskim (obecnie na Ukrainie). Jego dziadek pochodził z Łodzi. Był tzw. osadnikiem Piłsudskiego.

Gospodarstwo pod Włodzimierzem Wołyńskim Strójwasowie otrzymali za zasługi w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Nie było tam bezpiecznie. Brat dziadka Jana Strójwasa zginął z rąk nacjonalistów ukraińskich. Jego żona ocalała, bo była Ukrainką, a córka przeżyła, bo rodzice zdążyli ją wcześniej schować.

Jan Strójwas razem ze swoją matką otrzymał Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za uratowanie życia trzynastu Żydom. Najpierw ukrywali ich we Władysławówce. Ponoć schronienie tym Żydom obiecał Ukrainiec, wyгнаł ich, gdy oddali mu wszystkie kosztowności.

- Nasza babcia była niezwykle dobrą i wrażliwą osobą. Zlitowała się nad nimi. W sadzie dziadkowie mieli murowaną ziemiankę. Była zamaskowana. W tym lochu Żydzi musieli przebywać cały dzień. Mogli wyjść tylko w nocy, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Również nocą babcia nosiła im jedzenie - opowiada córka Jana Strójwasa.

- Łatwo nie było, sami nie dojadali - dodaje pasierb Strójwasa. - Ojczym opowiadał, że czasami musieli kraść mąkę i inne produkty z niemieckich magazynów. Wyciągali je przez zamaskowaną dziurę w ścianie. Raz zamiast na mąkę, ojczym trafił ręką na karabin. Pewnie jakiś Niemiec ustawił broń pod ścianą. Ojczym uciekł stamtąd wystraszony.

Lufa przy skroni

Spokój nie trwał długo. Ktoś doniósł Niemcom o Żydach, ukrywających się u Strójwasów. Niemcy dokładnie przeszukali dom, ale Żydów nie znaleźli. Nastoletniemu wówczas Jankowi gestapowiec przyłożył do skroni lufę odbezpieczonego pistoletu.

- Straszyl, że go zabije, jeżeli nie powie mu, gdzie rodzice schowali Żydów - mówi córka hrubieszowianina odznaczonego Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Warkot silnika nadjeżdżającego samochodu był dla Jana Strójwasa sygnałem, że trzeba uciekać z domu razem z dwiema młodszymi siostrami.

Biegł z nimi w wysokie trzciny na pobliskich bagnach. Tam w ukryciu czekali, aż Niemcy odjadą. Do domu wracali dopiero wtedy, gdy przyszła po nich matka - dodaje pasierb Jana Strójwasa. - Gdyby Niemcy odkryli kryjówkę Żydów - wszyscy dostaliby kulę w łeb. Nie byłoby żadnego tłumaczenia. No i nie byłoby nas - zauważa dalej.

Robiło się coraz niebezpieczniej, nasiliły się przeszukania. Strójwasi przenieśli się do innej wsi pod Włodzimierzem Wołyńskim. Zamieszkali w domu, który przed wojną należał do masarza. Między kuchnią a masarnią, w podpiwniczeniu był duży zbiornik. Tam znowu ukrywali Żydów. Przy piecu było wejście do kryjówki. Żydzi rzadko z niej wychodzili. Hitlerowcy wiele razy robili przeszukania w domu, ale kryjówki nie znaleźli.

- Była zmyślnie zamaskowana. Nie wykryto jej aż do wyzwolenia - opowiada dalej pasierb Jana Strójwasa.

- O tym, że w naszej rodzinie podczas wojny ratowano Żydów, dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, gdy nasza ciotka wyjechała na pewien czas do Ameryki. Zaprosiła ją rodzina uratowana przez naszą babcię. Wcześniej babcia nigdy nie chciała rozmawiać o ratowaniu Żydów. Takie czasy. Na ten temat się nie rozmawiało, bo nagonka była - tłumaczy dalej córka Jana Strójwasa.

W latach pięćdziesiątych jej ojciec musiał zrezygnować ze szkoły podoficerskiej we Wrocławiu. Jan Strójwas otrzymał list ze Stanów Zjednoczonych od ocalonych Żydów. Wtedy jakikolwiek list z USA był równoznaczny z podejrzeniem i zarzutami o szpiegostwo.

- Ludzie myśleli, że my mamy nie wiadomo jakie bogactwo za ukrywanie Żydów. Babcia nie robiła tego dla pieniędzy, a ze współczucia. Dziadek miał jechać do Izraela, posadzić drzewko w instytucie Yad Vashem. Ale nie zdążył. Zmarł tuż przed wyjazdem - mówi córka hrubieszowianina odznaczonego medalem.

Śmiertelny zastrzyk

Ks. Grzegorz Pawłowski urodził się w 1931 r. w Zamościu, w żydowskiej rodzinie Hersz Grinerów. Rodzice nadali mu imię Jakub. Był najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Miał 8 lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Pamięta, że gdy spalił się ich dom przy ul. Reja w Zamościu, zamieszkali w małym pokoiku u krewnych przy ul. Gminnej. Jego ojciec przez pewien czas pracował u Niemców. Raz przyszedł do domu cały poobijany i posiniaczony. Niemcy sadzali Żydów na konia i bili zwierzę batami. Wystraszony koń zrzucił jeźdźców, a niemieccy żołnierze się śmieli. W dni jarmarków siostry Jakuba chodziły z wiadrami na targ, aby poić konie. Dostawały za to jakieś pieniądze na jedzenie. Jakub podbierał warzywa, które chłopcy furmankami dostarczali w ramach przymusowych kontyngentów.

- Łapałem jakiegoś buraka, ziemniaka, co się dało, żebyśmy mieli z czego żyć - wspomina ks. Grzegorz Pawłowski.

Gdy w Zamościu urządzono getto, ojciec Jakuba także chodził do przymusowej pracy u Niemców. Pewnego razu powiedział żonie i dzieciom, że nie wie, czy wróci. Pożegnał się. Odradzali mu, żeby nie szedł. Muszę - odpowiedział. Nigdy więcej już go nie widzieli.

Łapanki i egzekucje w zamojskim getcie to była codzienność. Po likwidacji getta pozostałych przy życiu Żydów przepędzono do Izbicy.

W kolumnie prowadzonej przez hitlerowców szła lekarka z dzieckiem. W drodze zaaplikowała sobie i dziecku zastrzyk uśmiercający.

W Izbicy nic się nie zmieniło, nadal były łapanki i egzekucje. Jakubowi Hersz Grinerowi udało się uciec podczas jednej z łapanek. Po wojnie

dowiedział się, że wszystkich Żydów, którzy zostali w Izbicy (ok. 1 tys.), Niemcy rozstrzelali na tamtejszym cmentarzu.

Żydek - znaczy uciekaj

Z Izbicy Jakub udał się w kierunku Tarnogóry. Wieczorem spotkał jakiegoś Polaka. Ten powiedział mu: „Chłopcze, idź do tego mieszkania, tam cię nakarmią i przenocują”. Drugiej nocy nie przespał w domu, a w stercie porąbanego drewna. Gospodarze bali się go przenocować. Był koniec października 1942 r.

- Wyszedłem z kryjówki, zauważył mnie jakiś gospodarz. Na mój widok krzyczał: patrzcie, jak się Żydek trzęsie z zimna. Wiedziałem, że trzeba uciekać - opowiada ks. Pawłowski.

Uciekinier z Izbicy szedł przez różne wioski, aż dotarł do Zamościa. Tu ukrywał się u kilku rodzin. W domu przy ul. Partyzantów miał kryjówkę na poddaszu. Właściciele mieszkania nauczyli go pacierza. Pewnego dnia Jakub spotkał na ulicy żydowskiego chłopca. Ten spytał go, czy chce żyć i przyniósł mu podrobioną metrykę chrztu.

- Ta metryka dała mi nowe imię i nazwisko, i uratowała życie - zapewnia ks. Pawłowski.

Z Zamościa, już jako Grzegorz Pawłowski, Jakub Hersz Griner dotarł do Białowoli. Sołtysowi pokazał metrykę, a ten zaprowadził go do domu jednego z gospodarzy. Tam powiedziano mu: „Teraz my jesteśmy twoją rodziną. To jest twoja babcia, na mnie będziesz wołał ciocia, a na męża wujek”.

Potem mieszkał jeszcze u kilku innych rodzin w okolicy. Uciekł, gdy do wsi wkroczyli żołnierze Armii Czerwonej. W Tomaszowie Lubelskim przyjął chrzest. Trafił do domu dziecka. Stamtąd został przeniesiony do Lublina. Ksiądz opiekujący się sierocińcem nauczył go ministrantury po łacinie. Kilkunastoletni Grzegorz służył do mszy. Jednak Gimnazjum im. Staszica nie skończył.

- W czasach stalinowskich, w szkołach urządzano masówki. Opluwano papieża i wiarę. Jako gorliwy chrześcijanin, jedyny w szkole zabrałem głos w obronie papieża. Groził mi tzw. wilczy bilet - wspomina ks. Pawłowski. W seminarium też nie było lekko. Ktoś się dowiedział, że Grzegorz Pawłowski jest Żydem. Wicedyrektor seminarium bał się, że jako ksiądz będzie miał w przyszłości z tego właśnie powodu kłopoty w swojej parafii. Na księdza został wyświęcony w 1958 r. Osiem lat później napisał do „Tygodnika Powszechnego” artykuł pt. „Moje życie”, w którym wyjawiał swoje pochodzenie.

- O dziwo, ludzie mi nie dokuczali, byli zaciekawieni, że ksiądz jest Żydem. Dzięki temu artykułowi odnalazłem brata w Hajfie - mówi duchowny. Od 1970 roku ks. Pawłowski mieszka w Jaffie, w Izraelu. Pracuje tam wśród Polaków, przy kościele św. Piotra. Opiekuje się także grupą hebrajską. Gdy wyjeżdżał z Polski, w dokumentach, w rubryce narodowość wpisano mu: „Żyd”. Gdy przyjechał do Izraela, zmieniono na „Polak”. Tłumaczono, że skoro zmienił religię, nie może być Żydem.

> Ku pamięci i przestrodze

Kilka tygodni temu Ośrodek „Brama Grodzka NN” w Lublinie opublikował wydawnictwo pt. „Sprawiedliwi wśród narodów świata - relacje”. Zawiera ono ponad 60 opowieści „Sprawiedliwych” oraz tych, których oni ocalili, a także świadków zdarzeń. Relacje zarejestrowano w latach 2003-2008. Większość historii zdarzyła się na Lubelszczyźnie. Kilka relacji wykorzystano w tym reportażu.

» Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

- to tytuł i odznaczenie nadawane przez instytut Yad Vashem z Jerezolimy tym, którzy ratowali Żydów. Osoba uznana za „Sprawiedliwego” jest odznaczana specjalnie wybitym imiennym medalem oraz dyplomem honorowym. Na rewersie medalu jest umieszczone pochodzące z Talmudu motto: „Kto ratuje jedno życie - ratuje cały naród”. „Sprawiedliwy” otrzymuje przywilej umieszczenia jego nazwiska na Murze Honorowym w Ogrodzie Sprawiedliwych w Yad Vashem. Przysługuje mu również prawo do zasadzenia własnego drzewa w parku otaczającym siedzibę instytutu.

Aktualnie Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata uhonorowano ponad 22 tys. osób. O zaangażowaniu polskiego społeczeństwa w ratowanie Żydów, w czasie II wojny światowej, świadczy największa liczba Polaków (ok. 6 tys.) spośród uhonorowanych tym tytułem.

Komu się należy medal? Uratowany od zagłady musi być Żydem. Natomiast ten, który go ocalił, nie może być Żydem. Wybawca nie może przyjąć jakiegokolwiek rekompensaty od tego, kogo uratował. Ratunek musiał wiązać się z jakimś ryzykiem dla życia lub wolności wybawcy.